

Elilith stanęła na czubkach palców, błagając w duchu o ich wytrzymałość. Gdyby takową posiadały, pozwoliłyby jej utrzymać się w tej pozie przez krótką chwilę. Wzięła zwisającą z karnisza ciemną klamerkę, nacisnęła na nią i wsunęła w otwartą „paszczę” górnej krawędzi zasłony.

Opadła na powierzchnię całej stopy i zatrzepotała ręką. Mdląła jej już w momencie, gdy odpinała starą zasłonę przeznaczoną do prania. Podobnie było teraz, gdy musiała jeszcze założyć nową, zmagając się nieustannie z jęczącymi mięśniami. Cieszyła się jednak, bo miała to wszystko wreszcie za sobą.

— Skończyłam — uradowana zeskoczyła z taboretu byle jak najdalej.

Skok osiągnął długość może dwóch metrów, ale wprowadził vandirzycę w świetny nastrój, gdyż nawet chichotała, gdy wróciła pod zasłonę, aby odstawić krzesło.

— Może jednak ten odcień tu nie pasuje? — zamyśliła się Raumaria, rozkładając ręce na dwóch wysokich stosach zasłon, obrusów i żaluzji, które przytaszczyły do salonu w celu wybrania najlepszej. — Bordowa zasłona jest trochę zbyt ponura.

— Już dokonaliśmy selekcji — stwierdziła Elilith z oczywistych dla siebie powodów.

Z lękiem zerknęła na zawieszony prawie dwa i pół metra nad podłogą karnisze. Gdy pomyślała, że znowu musiałaby tam wchodzić, miała ochotę podrapać plecy rajderki.

— Patronowi niewątpliwie się spodoba, lecz... — kucharka przyglądała atłasową zasłonę w kremowym odcieniu, likwidując kilka znajdujących się na niej fałd. — Nie do nas należy decyzja, co zostaje, a co należy zmienić. Wprawdzie Golter kazał założyć nową i ładną zasłonę zdając się na nasz gust, jednakże przyjdzie tu kiedyś i ze zwykłej złośliwości może polecić zmianę.

— Nadużywa swoich kompetencji! — wyrwało się z nietłumioną złością Elilith w sposób tak porywczy, że nie umiałaby jej skontrolować nawet mimo ogromnych starań. — Czemu to robi? Czemu koniecznie chce mi szkodzić na każdym kroku?

— Powiem ci dlaczego... — Raumaria jednym ruchem ręki przywołała do siebie vandirzycę. — Kamerdyner może się ciebie bać.

— Mnie?! — Zdziwiła się Elilith, lecz w jej oczach błyszczały iskierki zdradzające wiarę w słowa kucharki. — To ja powinnam się bać. To o n znęca się nade mną, a czasem nawet mnie bije.

— Kiedyś, to znaczy na początku swojej pracy w domu rodu Barhero, był w podobnym położeniu jak ty. Przyszedł tu z ulicy, jak wielu innych chłopców. Ojciec

naszego obecnego patrona, Survivala, stworzył grupę pracowników, jakich zwie się zawodnikami. Mieli, jak to zawodnicy, ochraniać jego rodzinę. Golter był pośród nich. Z miejsca wyróżniał się lojalnością, lecz nie był bynajmniej lizusem. Ponieważ był człowiekiem o dość kiepskiej reputacji, jak większość ówczesnie sprowadzonych do posiadłości zawodników, nie miał taryfy ulgowej. Nawet wtedy, gdy jego starania były prawdziwe, a wyniki pracy więcej niż zadowalające. Jednak był twardy. Innych zwalniano i zastępowano osobami godniejszymi zaufania, on zaś trwał na swojej pozycji. Za każdym razem jednak, gdy sprowadzono hurtem trzech lub czterech nowych mężczyzn, staczał się w tej hierarchii ponownie na samo dno. Nie było to uczciwe wobec niego, pracownika z tak dużym przecież już doświadczeniem.

— Wyżywa się na mnie, bo sam dostawał cięgi?

— Nie — wokół ust Raumarii nie pojawiły się głębsze kurze łapki, choć lekko uniesione wargi i tak zdradzały, iż rozbawiła ją uwaga vandirzycy. — Robi to, ponieważ boi się tego, że możesz go kiedyś zastąpić.

— Ja?! — Elilith uczepiła się stołu, powtarzając jak mantrę te same słowa. — Niby czemu miałabym zostać mianowana na jego stanowisko? Jestem tylko niewolnicą!

Powiedziała to, co było konieczne, aby nie tracić nic w oczach kucharki. W myślach młodej dziewczyny ożyły wspomnienia, od których uśmiech pojawiał się na jej twarzy. Survival testował ją pod kątem zaufania, gdy kazał jej się ogolić. Pamiętała również, jaki wściekły był wówczas Golter. Czyżby jednak miała pełnić kiedyś ważniejszą rolę w domu Barhero? Wprawdzie marzyła o czymś innym, o wolności, o Enisie, o pozbyciu się kłopotliwych przypadłości, o Darze Ognia i wielu innych rzeczach, ale awans z roli niewolnicy na ochmistrzyni domu byłby czymś nawet zadowalającym.

— Vandiry są nieśmiertelne — wyrwała ją z marzeń Raumaria, ale ponieważ Elilith wyczuła w jej słowach podziw, nie gniewała się i słuchała dalej. — To oznacza zaś, że przedstawiciel tej rasy obsadzony na ważnym stanowisku mógłby wiernie służyć patronowi, jego dzieciom, a potem dzieciom jego dzieci. Nie byłoby potrzeby szukania kogoś na stanowisko kamerdynera, tudzież ochmistrzyni. Byłaby jedna osoba na stałe.

— Wczoraj szperałam w księgach biblioteczki — zezujące na rajderkę oko Elilith miało sprawdzić, czy aby przyznanie się do grzebania w cudzych rzeczach nie przyniesie represji. Okazało się, że jedyne, jakie ją czekały, pochodziły od niej samej

i miały formę niepotrzebnych wyrzutów sumienia. — Znalazłam coś dotyczącego kamerdynerów. Ponoć w wielu rodzinach arystokratycznych takich jak Barhero stosuje się pokoleniową wymianę. I tak syn kamerdynera ma w przyszłości służyć dzieciom patrona, żeby przez lata powstała niezwykła więź między pracodawcami a najważniejszymi pracownikami.

— Do czego zmierzasz? — Raumaria odwróciła się do niej plecami.

Zaczęła układać z dwóch kupek zasłon i obrusów jedną, gdyż nie mogły przecież tracić czasu na ciągłe gadanie.

— Zamiast znęcać się nade mną, niech zrobi sobie dziecko! — orzekła Elilith z uzasadnioną pychą rozchodzącą się po jej twarzy niczym zaraza.

Była zadowolona ze swojej bystrej uwagi. Brakowało jej takich mądrości i zanadto stery nad jej umysłem przejęło to „ja”, które słyństwo z melodramatyczności, nierozgarniętości i cukierkowości.

— Jeżeli raz jeszcze mnie bezpodstawnie ukarze, wygarnę mu to prosto w twarz!

— I prosto w tę twarz dostaniesz — odpowiedziała Raumaria, unosząc gigantyczny stos.

Kucharka była praktycznie całkowicie schowana za tą stertą i vandırzyca musiała iść z nią dla asekuracji. Podwójnej asekuracji. Ubezpieczanie rajderki przed potknięciem się o jakiś mebel nie było bowiem priorytetowe. Dla Elilith liczyło się głównie to, aby nie poddać się bezczynności. Nie chodziło też o to, że miała coś przeciwko lenistwu. Nicnierobienie to była jedna z tych rzeczy, do których była stworzona. Poszła z kobietą, bo była przecież niewolnicą i musiała to zrobić, aby uniknąć kary.

— To jak mam się uwolnić od jego napastliwości? — Elilith podbiegła do przodu, otworzyła szafę i odsunęła się w odpowiednim momencie.

Rajderka sunęła bowiem do przodu praktycznie na ślepo i byłaby wepchnęła samą dziewczynę do obszernego środka, gdyby ta w porę się nie zorientowała.

— Musisz to przetrzymać — Raumaria położyła stos i zamknęła szafę. — Nie widzę innego wyjścia. I nawet nie myśl o ucieczce stąd. Patron cię znajdzie i uwierz, że choć jest to człowiek zawsze działający pod wpływem trzeźwego rozpatrywania swoich czynów, to może być surowy, gdy ktoś go zawiedzie.

Elilith musiała przyznać jej rację, chociaż nie lubiła ulegać w sytuacjach, które nie szły w parze z jej oczekiwaniami. Survival na pewno należał do osób niebezpiecznych, zwłaszcza ogarnięty złością.

Ponieważ skończyły pracę, rajderka pozwoliła Ellilith zająć się swoimi sprawami. Wiedziała, że młoda, pełna ochoty do życia osoba, jaką niewątpliwie była vandırzyca — miała swoje własne sprawy i nawet będąc niewolnikiem nie można jej odmówić szczypty prywatności.

Elilith udała się na dziedziniec i prędko poszukała sobie kąta, w którym spodziewała się nie rzucać zanadto w oczy. Usiadła na kamiennym murku. Niedaleko niej mężczyzna, zawodnik jej patrona, prowadził konia od strony bramy. Musiał widocznie dopiero co wrócić z miasta. Nie zniknął jeszcze w przejściu prowadzącym do mniejszego dziedzińca, kiedy pojawił się obok niego Golter.

— Masz? — zapytał zawodnika. Ten bez słów wyjaśnienia przekazał mu jakąś tajemniczą paczkę. Łysy człowiek wetknął ją sobie pod kamizelkę i kilkakrotnie poklepał się po piersi, aby pakunek zanadto nie rzucał się w oczy. — Dobrze, możesz odejść.

Zawodnik poszedł odprowadzić wierzchowca do stajni, podczas gdy kamerdyner rozejrzał się po terenie i skierował do środka rezydencji. Nie zauważył skulonej tuż przy murku postaci Elilith. Znaczącą rolę w zamaskowaniu jej obecności na dziedzińcu odgrywały szerokie liście paproci, jakich cały szereg znajdował się w doniczkach tuż obok.

Vandırzyca nie zdążyła jeszcze zebrać w sobie tyle odwagi, aby ponownie spocząć na kamieniu, gdy Golter wrócił. Zdecydowanym, różnym krokiem przemierzył dziedziniec i wyszedł na ulicę. Elilith podążyła śladem chłodnej kalkulacji i obliczyła, że w rezydencji było teraz pusto. Nie było nikogo prócz Raumarii.

Wpadła na pomysł, który nawet jej samej wydawał się niemądry. Postanowiła jednak spróbować dowiedzieć się, co to był za pakunek. Weszła do domu i ucieszyła się, kiedy zobaczyła w salonie kucharkę.

— Przechodził tędy kamerdyner? — zapytała dyplomatycznie, zerkając przy tym na lewo i prawo. Nie widziała nigdzie pakunku w salonie, ale wiedziała, że z pewnością znajduje się gdzieś w rezydencji, skoro kamerdyner wszedł tu z paczką i po chwili wyszedł z pustymi rękoma. Musiał ją tu gdzieś zostawić.

— Poszedł do siebie, lecz tylko na moment. Chwilę potem wyszedł. Czemu pytasz?

— Tak po prostu — Elilith przeczesła blond włosy, nie gubiąc w sobie nic z udawanej słodyczy, jaką emanowała, aby zmylić rajderkę. — Staram się go unikać i tyle.

To nie było nawet zupełne kłamstwo z jej strony, ale najważniejsze dla vandirzycy nie było to, w jaki sposób — moralny czy też nie — osiąga zamierzony cel. Cel był najważniejszy. Mając pewność, że Raumaria nie będzie jej śledzić, skierowała się w stronę drzwi pokoju Goltera.

„Oby były otwarte” — westchnęła w myśli. Potarła o siebie dłonie i nacisnęła klamkę. Cała aż zatrzęsała się z podniecenia, kiedy drzwi uchyliły się i duszny powiew powietrza uwięziony w pokoju buchnął na korytarz.

— Udało się — szepnęła do siebie prawie bezgłośnie.

Wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. Rozejrzała się po pokoju kamerdynera i tylko na moment zatrzymała wzrok na łańcuchach. Raz już na nich wisiła, gdy on walił ją pejczem. Odruchowo sięgnęła dłonią do pleców. Rana na pośladku zniknęła, został wyłącznie biały niewielki ślad, lecz wzdłuż kręgosłupa ciągnęło się jeszcze kilka pręg. Gdy podczas snu zbyt mocno ocierała się o szmaty, na których spała, rany piekły nieprzyjemnie.

Nie patrzyła dłużej na łańcuchy. Ich widok ożywiał bowiem nieprzyjemne wspomnienia. Znalazła pakunek przywieziony przez zawodnika. Opasany był sznurem zawiązanym na supeł. Nie umiała go rozwiązać. Próbowwała wykorzystać kły, ale nie mogła jednak cienką niczym główka szpilki końcówką trafić w sznur. Jedyne co mogła, to trzeć go o boczną krawędź rasowych zębów, które przecież były ostre. Tak zrobiła i więzy w końcu pękły.

Pazurami rozdarła papier i jej oczom ukazały się pieniądze. Wzięła je do rąk i przeliczyła. Było dwadzieścia banknotów, każdy o nominale pięćdziesięciu lirów. Nie musiała się nawet znać na pieniądzach, by ocenić, że to mnóstwo pieniędzy.

— Zapłacisz mi, Golter — przemówiła do siebie, co w jej przypadku było notorycznie nasilającą się przypadłością.

Elilith traktowała mówienie do siebie jako niegroźne dziwactwo, którego nabawiła się wskutek przykrych przeżyć. Obecność w jej ciele kuli imieniem Orbita będącej awatarem Wielkiego Maga sprawiła, że jej przypadłość wyłącznie się pogłębiała. Było coś jeszcze. Podział jej jaźni na „ja pierwsze” — złośliwe, zadufane i intryganckie, a także „ja drugie” — słodkie, płaczliwe i nieporadne, które było nawet gorszym problemem od mówienia do siebie. Gdy tylko zdała sobie sprawę, że to

drugie „ja” nie było jedynie wykreowaną otoczką pierwszego, lecz już integralną częścią jej samej, wtedy uznała to za kłopot. Nasilone rozszczępienie umysłu nagle ustało, gdy znalazła się w jej ciele kula, notabene ratująca jej duszę przed opuszczeniem ciała.

Elilith wyszła z pomieszczenia, zabierając ze sobą pieniądze. Zamierzała naskarżyć patronowi, iż jego wierny poddany prowadzi interesy za jego plecami. To na pewno nie spodoba się Survivalowi. Zachichotała, rozważając spadek notowań kamerdynera.

— Co tam masz? — aż podskoczyła zaskoczona, obawiając się przyłapania przez tego, który zawsze zjawiał się jak spod ziemi, ale uspokoiła się nieco, gdy zobaczyła wychodzącą zza kolumny Raumarię. — Co tam trzymasz? — powtórzyła raz jeszcze i o ile wcześniej była to ciekawość, teraz już ton jej głosu zaostrzył się.

— Ja tego nie ukradłam — Elilith zaszeleściła plikiem banknotów, gdyż ukrywanie ich za plecami nie miało sensu. — To są pieniądze kamerdynera. On je dostał od zawodnika i schował u siebie. Chcę to zameldować patronowi. Musi się przecież dowiedzieć o machlojkach za jego plecami.

— Masz w ogóle pojęcie, co to są za pieniądze i skąd tu przybyły? — Raumaria była zagniewana i tylko dlatego Elilith nie zdecydowała się na zaciśnięcie palców na banknotach, gdy rajderka zaczęła je wydzierać z jej uścisku.

— Nie wiem. Pewnie kamerdyner prowadzi jakiś lewy interes.

— To pieniądze z haraczu — Raumaria uniosła plik banknotów, który rozwinął się przypadkowo w formę wachlarza.

— Z czego? — Elilith usiłowała zmusić szare komórki domyślenia, lecz te odmówiły współpracy, a władzę nad nimi przejęło to drugie „ja”: Elilith od bezmyślnego wytrzeszczania oczu i niewinnych spojrzeń.

— A jak myślisz, jakimi biznesami zajmuje się nasz dobrodziej?

— Wiem, że nieczystymi. Był tu raz El Maestro. Miał załatwić naszemu patronowi samostrzały. Sami mówili o szemranym statusie tego biznesu.

— Zawodnicy Survivala ochraniają różnego rodzaju obiekty handlowe lub prywatne posesje. Dostają za to liry — Raumaria schowała liry do głębokich i szerokich kieszeni fartucha. — To oczywiście nie jest samo w sobie złe. Zły jest jedynie sposób, w jaki dochodzi do zawarcia umowy pomiędzy patronem a klientem.

— To znaczy? — Elilith nie spuszczała wzroku z kieszeni.

— Survival wymusza na przyszłych klientach szantażem, aby płacili mu za ochronę. Godzą się, inaczej będą mieli problemy. Straż miejska z inspektorem Wiltsonem na czele nic nie mogą zrobić, ponieważ żadna z osób nie wniosła skargi. Ludzie się zwyczajnie boją.

— Patrząc na twarze zawodników nie można się temu dziwić — Elilith westchnęła zawiedziona, że nie udało jej się przechytryć kamerdynera.

Pasma niepowodzeń zwiększyło swoją liczbę, a rozgoryczenie dziewczyny było już doprawdy pokaźnych rozmiarów.

— Nawet nie próbuj się mieszać w ich sprawy.

Raumaria weszła do pokoju kamerdynera. Elilith ruszyła za nią, choć nie wiedziała właściwie czemu.

— Nie doniosę na ciebie Golterowi, ale musisz obiecać mi, że przestaniesz z nim prowadzić wojnę — kucharka uklękła i otworzyła kufer, by umieścić w nim pieniądze.

Elilith zmarszczyła czoło i poczochrąla się po wygiętych brwiach. Zdziwiła ją lekkość, z jaką Raumaria uporała się z zabezpieczeniami. Pamiętała przecież, że oprócz zwykłych zapiek, kamerdyner używał do otwierania kufra własnego kciuka. To jego odcisk zwalniał zabezpieczenia.

— Idź, zajmij się czymś, co powinna robić dziewczynka w twoim wieku — kucharka wyszła.

Była tak przejęta postępowaniem vandrzycy, że nawet nie poczekała, aż i ona wyjdzie.

— Dziewczynka? — Elilith zastanowiła się nad słowami kobiety. Gdy uznała, że określenie „dziewczynka” jest nieadekwatne do jej zdolności i przeżyć, nachyliła się nad zamkniętym kufrem. Przyłożyła swój kciuk w miejscu, gdzie zrobiła to kucharka i wcześniej kamerdyner. Żelazne paski nie wyskoczyły z zapiek, jak w poprzednich przypadkach, a usta vandrzycy uformowały się w podkówkę. — A niech to!

Wyszła z pokoju, przeciągając stopy po podłodze. Zahaczyła sunącymi podeszwami o dywan i podwinęła go. Stała i niczym zahipnotyzowana wpatrywała się w to, co właśnie uczyniła. Wpadła w apatię. Odechciało się jej wszystkiego przez tę historię z pieniędzmi i kamerdynerem. Skoro była niewolnicą w tym przeklętym domu, to chciała chociaż móc zabawić się czymś kosztem.

Pojawił się Golter i na jej widok nawet nie ściągnął mocniej brwi. Musiał więc dostrzec jej smutek i to mu wystarczyło do zaspokojenia swoich złośliwych ambicji.

— Przyszedł El Maestro, który życzy sobie cię widzieć — zakomunikował oficjalnie, zerkając za swoje plecy, jakby w obawie, że vandir przyjdzie tu za nim z salonu. — Idź do niego i zabaw go do czasu przybycia naszego patrona.

— Dobrze — grzecznie zgodziła się vandirzyca i to wcale bez cienia ironii, a kiedy kamerdyner minął ją, odwróciła się wolno i rzekła smutno: — Nie chcę zajmować pana miejsca. O to może być pan spokojny.

Golter przyjął jej zapewnienie milcząco. A zatem musiało być coś na rzeczy z tą jego obawą o swoją posadę. Miała nadzieję, że jej uwierzył. To gwarantowałoby jej spokojniejsze życie w posiadłości, a zatem także komfort do myślenia nad wydostaniem się z tego miejsca.

El Maestro czekał na nią, przyglądając się uważnie podłodze. Wydawało jej się więc, że nie zauważył jej przybycia. Dopiero wtedy, gdy się grzecznie przywitała, podniósł na nią wzrok. Nie był zaskoczony jej obecnością. Zapomniała, że ma do czynienia z vandirem, który musiał usłyszeć nawet jej miękkie kroki.

— Bez tego nieszczęsnego dywanu na podłodze salon wcale nie jest brzydszy, sestro — powiedział, nawiązując do okoliczności, w jakich przyszło im się spotkać po raz pierwszy.

— O mojej skórze na plecach tego rzec nie można — Elilith przez chwilę gniewała się na niego za powrót do niemiłej przeszłości, lecz wybaczyła mu zanim on mógłby dostrzec w jej oczach drapieżne błyski. — Na szczęście urodziłam się taka a nie inna, toteż niedługo nie będzie nawet blizny. Nie lubię blizn.

— Dobrze — El Maestro skinął głową. — cieszę się, że nie spotkały cię nowe przykrości od mojej ostatniej wizyty. Nie przypuszczam bowiem, abyś ukrywała przede mną ślady bicia. Wiesz przecież, że Survivalowi zależy na interesach ze mną, ja natomiast oczekuję od niego moralnego postępowania.

— Powiedziałaś, że nie sprzedasz mu samostrzałów, póki nie zmieni swojego stosunku do mnie — przypomniała Elilith, koncentrując się na nasłuchiwanie.

Gdyby ktoś krążył w pobliżu, miałyby poważne kłopoty za skarżenie na patrona i to niezależnie od tego, czy vandir stawiłby się za nią, czy nie.

— Owszem, musiał coś nagadać Golterowi, bo ten nawet ręką mnie nie dzielił od tamtego czasu. Lecz co z resztą?

— Jaką resztą? — zapytał El Maestro, ale ona się wystraszyła i zakryła usta dłonią. — Nie chcesz mówić? Może więc chodzi ci o interesy Survivala? — umilkł, by dać jej czas na zebranie odwagi, lecz dziewczyna zanadto kochała siebie, żeby



wpędzać się w tarapaty. — Nie lękaj się. Wiem o haraczach. Ostatnio się jednak poprawił i zaniechał ściągania ich od kilku przedsiębiorców.

— Skąd o tym wiesz? Przecież ludzie nie rozmawiają o tym, nie skarżą się, a co dopiero mówić o przyznaniu się do zaprzestania opłat? Przecież mój patron mógłby ich ukarać i ponownie nałożyć nawet i dwukrotnie większe stawki — zaznaczyła Elilith, nerwowo grzebiąc palcem w uchu.

— Niegdyś sam płaciłem mu taki haracz — obwieścił niespodziewanie El Maestro i jeżeli vandirzyca się nie przesłyszała, było w tym jakieś pochwalne echo. Czyżby vandir był dumny z tego, że zmuszono go do zapłaty? — Płaciłem mu i jednocześnie prowadziłem z nim interesy, gdyż nie chciałem być stratny. — Zakomunikował zdziwionej dziewczynie. — Za samostrzały dostaję takie pieniądze, że mogę płacić mu haracz i jednocześnie utrzymywać kilka tawern w mieście. Z nikim innym takich lukratywnych interesów do tej pory nie ubijałem.

Wszedł Survival. Tylko wejrzał na nich i lekko się uśmiechnął, jak człowiek, który dostał to, czego się spodziewał, po czym skierował swoje kroki na piętro, do mieszkalnej i prywatnej części arystokraty.

— To nie jest w porządku, aby nakładać haracz na towarzysza interesów — stwierdziła Elilith, wpatrując się w schody, spodziewając się powrotu patrona w każdej chwili. Woląta wówczas nie mówić niczego złego na jego temat.

— W porządku jest natomiast to, że twój pan dowiedział się, iż lubię wypić sobie wino z krwią, co jest nielegalnym w Rajder League i gdyby się o tym dowiedziały władze lub straż miejska, straciłbym wszystkie tawerny — El Maestro uniósł ręce, gdyż Survival wracał do nich. — Jeżeli nie jesteś zajęty, możemy pojechać na mały spacer za miasto.

— Za miasto? — Survival zeskoczył z ostatnich stopni, w czym nie było nic dystygowanego, a co idealnie pasowało do człowieka z jego pozycją. — Czyżbyś jednak zrozumiał swoje niewłaściwe postępowanie i przybyłeś skruszony prosić mnie o wybaczenie? Bo już zaczynałem się niepokoić. Wyglądało to tak, jakbyś przyszedł w gości do mojej niewolnicy. Czyżby marzył ci się mały romansik, he?

— Ponownie uważam nasz interes za aktualny — El Maestro skłonił się, a błyszczące dodatki na jego płaszczu zalśniły setkami światełek. — Dziewczyna nie jest już krzywdzona i oby tak pozostało nawet po dokonaniu transakcji.

— Zatem założę mój reprezentatywny surdut i możemy jechać — Survival uśmiechnął się chciwie i z większą oględnością w emocjach spojrzął na vandırzycę. — Powiedz moim zawodnikom, aby naszykowali konie.

— Jak rozkażesz, mój patronie — Elilith schyliła się tak mocno, że odezwał się ból w plecach.

Mimo to była wesoła. Śmieszyło ją granie takiej uczynnej i usłużnej podwładnej. Na szczęście jej parsknięcie nie zwróciło uwagi arystokraty. Rajders był już na schodach, gdy ta podnosiła się z ukłonu.

— Gdybyś mogła, co byś z nimi zrobiła? — spytał El Maestro. — Ze swoim patronem i kamerdynerem?

— Nic. Uciekłabym — skłamała bez mrugnięcia okiem. Znając mściwość swojej natury, ukarałaby ich w jakiś sposób.

Jeszcze nigdy nikogo nie zabiła i nie spodziewała się tego prędko dokonać. Były jednak inne metody krzywdzenia, które już kiedyś praktykowała.

Niedługo potem na dziedzińcu stały konie gotowe do podróży. W trzech siodłach siedzieli zawodnicy, dwa pozostawały puste. El Maestro przybył z parą swoich zwierząt. Uczynił to z myślą o Elilith. Vandırzyca miała także jechać z nimi, taki był jego warunek. Nie spodziewał się jednak, iż dziewczyna nie potrafi jeździć konno. Zdecydowała się jednak pokonać strach i dosiadła w końcu wyglądającej sympatycznie potulnej klaczy.

— Jesteś wreszcie! — wykrzyknął El Maestro, widząc wychodzącego w asyście kamerdynera Survivala.

Vandir skończył właśnie wiązać linę zapożyczoną od zawodników wokół łąku siodła dziewczyny. Koń Elilith miał być prowadzony przez niego tuż obok jego. Elilith nie mogła prowadzić zwierzęcia nie tylko z braku umiejętności jazdy wierzchem. Ręce miała zajęte kurczowym trzymaniem się grzbietu. Nie przeszkadzało to jej wytrzeszczonym ze strachu oczom przyjrzeć się surdutowi patrona. Miał on w przedniej części wyszytego czarnego łabędzia. Był to herb rodowy rodziny Barhero. Na barku arystokraty spoczywał błyszczący srebrny medal. Nie znała jego pochodzenia, jednakże musiał mieć związek ze statusem rajdersa.

Wjechali w siódmkę do miasta. Elilith chciała zmusić swoją tchórzliwą duszę do zaprzestania głupiego lękania się i przyjrzenia się światu zewnętrznemu. Nie widziała go od wielu dni, z wyjątkiem jednej przykrej w skutkach wizyty u doktora Murocco. Miała teraz okazję to nadrobić, lecz zmarnowała ją. Wyjechali z miasta,

a jedyną rzeczą oglądaną przez nią podczas podróży była końska grzywa, której trzymała się kurczowo od samego początku jazdy.

Dopiero kiedy znaleźli się na ścieżce prowadzącej w głąb lasu, szereg jeźdźców się rozluźnił i pojawiły się rozmowy o niczym pomiędzy zawodnikami. Survival nie odzywał się, trzymając stale lejce w jednej ręce. Druga dłoń krążyła w pobliżu torby arystokraty, którą zabrał ze sobą.

— Czy mogę dowiedzieć się, jak długo jeszcze potrwa ta podróż? — wystękała Elilith, kiedy na kolejnym skrzyżowaniu leśnych dróg po raz kolejny wjechali węższą i trudniejszą. — Bola mnie już uda od tej jazdy!

— Trzeba było zostać i sprzątać — Golter przejechał do przodu, wyprzedzając dwóch zawodników. Znalazł się tuż za zadem konia Elilith. — Czemu właściwie zabraliśmy tę upartą i nieznośną dziewczuchę? Nie powinna znać trasy.

— Nie wydaje mi się, by usiłowała ją zapamiętywać — Survival obejrzał się i zaśmiał, gdy zobaczył ją w przekomicznej pozycji, do której już ich przyzwyczała. — Musi zresztą zdobywać moje zaufanie. Skoro mieszka u mnie w domu, musi się nauczyć je pielęgnować.

Elilith nie chciała tego usłyszeć. Znowu jej patron dawał do zrozumienia, iż wiązał z nią jakąś znaczącą przyszłość. Jeżeli Golter kiedykolwiek miał wątpliwości, czy jej osoba była brana pod uwagę w walce o miano kamerdynarzycy w domu Barhero, teraz musiał się ich pozbyć. Dało się to nawet usłyszeć, gdyż zaczął mrużyć coś o fałszywych i zdradzieckich vandirach.

— Jesteśmy już blisko — El Maestro zeskoczył z konia, gdy byli jeszcze na czymś, co musiało być ścieżką użytkowaną przez zwierzęta. Podeszedł do wierzchowca Elilith i szepnął: — Chodź, pomogę ci.

Vandirzyca zamknęła oczy i otworzyła je dopiero wtedy, gdy poczuła pod stopami piasek i liście. Wykonała serię prowizorycznych ćwiczeń rozciągających mięśnie zeszywniałych nóg. Mężczyźni tymczasem zeszli z drogi i wdarli się w najgęstsze krzaki w okolicy. Nie mogła zostać z tyłu. Poszła więc za nimi.

Polana do której dotarli była tak mała, że poza znajdującym się na nim drewnianym budynkiem niewiele było przestrzeni. Zostawili konie pod nadzorem jednego z zawodników i podeszli do drewnianych drzwi. Skład wyglądał jak stuletnia stodoła, ale najwidoczniej taki był zamysł, by nie przyciągać kogoś niepożądanego.

Drzwi otworzyły się od środka i zaraz potem stanął w nich vandir pracujący dla El Maestro. Przypatrzył się tylko twarzom swojego pana i Survivala. Reszta w jego ocenie nie była ważna. Wpuścił ich.

— Oto jest przesyłka, o którą tyle zabiegałeś — oświadczył El Maestro idąc środkiem stodoły pośród dwóch rzędów pociętych pniaków. — Chcesz sprawdzić ich jakość i funkcjonalność?

— Oczywiście — Survival odchylił głowę lekko do tyłu, gdy Golter szturchnął go lekko pod bok i wskazał na znajdujące się pod ścianą vandiry. Było ich czterech, a wszyscy mieli wetknięte za pas samostrzały.

El Maestro podszedł do najbliższego pnia i rozpostarł dłoń na jego owalnej podstawie. Drewniany dysk wypadł na podłogę, a ich oczom ukazało się zupełnie puste wnętrze. Pień, zapewne jak wszystkie inne w chatce, był wydrążony, pozostawiając tylko wierzchnią część, głównie korę. Był to schowek na to, po co zjawiał się Survival.

— Proszę cię bardzo — El Maestro wygiął się do przodu, sięgając rękoma po przedmiot ukryty w pniu. Wyjął samostrzał długością dorównujący ludzkiemu ramieniu. — Oglądaj do woli.

— Oby nie była uszkodzona — Survival dmuchnął w otrzymaną broń, by oczyścić ją z maleńkich wiórków i kurzu. — Nie sugeruję oczywiście, że próbujesz mnie oszukać, ale broń mogła się przecież uszkodzić przy transporcie.

— Dlatego ją sprawdź — El Maestro skinął ręką i już stał przy nim jego podwładny. Trzymał przed sobą skrzynkę wypełnioną nasionkami. Wziął od niego dosłownie jedną niepozorną kulkę i wręczył ją człowiekowi. — Strzel sobie.

— Tak zrobię — Survival jeszcze nie odebrał nasionka lilii real, gdyż postanowił najpierw sprawdzić celność.

Przyjął pozycję strzelecką, układając sobie długą i smukłą kolbę broni we wgłębieniu między ramieniem i barkiem.

— Jest w porządku, jak na pierwsze wrażenie nawet dobra. Każdy umiałby przyjąć odpowiednią pozycję strzelecką, bo jest tak dobrze wykonana.

— Ładuje się ją bezpośrednio w lufę. Jest to możliwe dzięki łamaniu — El Maestro ponownie przejął broń. Naciągnął sprężynkę umieszczoną przy łożu i lufa oklapła. Pojawił się otwór, do którego włożył nasionko i ponownie złożył broń. — Potrenuj tutaj, wtedy dźwięki nie będą się tak mocno rozchodzić.

— Zamierzam trafić w konkretny punkt — Survival złożył się do strzału, a Golter postawił w przeciwnym rogu składowiska mały drewniany bloczek i niemal natychmiast czmychnął za pnie, co sugerowało wątpliwości co do umiejętności strzeleckich patrona.

Padł strzał. Dało się słyszeć huk i czuć dym. Elilith zacisnęła powieki, a uszy zasłoniła rękoma, jednak nos pozostał bez ochrony i przyszło jej wdychać nieprzyjemny zapach nadpalonego nasionka.

— Wyborny strzał, patronie — przemówił pochwalnie kamerdyner, biegnąc w kierunku strąconego drewna. Przybył z nim i pokazał wszystkim uszczerbek po pocisku. — Broń jest dobra.

Nie był to wcale perfekcyjny strzał, gdyż nie było śladu po dziurze. Pocisk jedynie otarł się o drewno. To jednak wystarczyło, by drewniany klocek obalił się.

Elilith nie dostała go w ręce do oględzin. Zresztą, nie zależało jej na tym. I tak miała dość.

— Zadawała mnie — Survival zważył jeszcze broń w dłoniach, oglądając teraz szczegóły. — Ile ich jest i jaką sumę przewidujesz otrzymać?

— Mam na zbyciu dwadzieścia długich samostrzałów, dokładnie takich jak ten — odpowiedział El Maestro. — Krótkich i poręcznych, do zatknięcia sobie za pas nie mam na sprzedaż. Mogę ci jednak jedną ofiarować w prezencie w ramach podziękowań za zniesienie haraczu.

— Nie potrzebujesz ochrony moich ludzi, skoro masz taką broń — odnotował żartobliwie Survival.

„Dlatego przestał ściągać kasę z vandira” — zorientowała się Elilith, przyglądając się uzbrojeniu, w jakim chodzili podwładni ich gospodarza. Ona sama nie poczuła się zagrożona. El Maestro dawał jej tyle oznak niezobowiązującej sympatii, iż ufała mu na swój sposób.